

TRZY WIERSZE Z CYKLU „SŁOWO I CIAŁO”

1

Słowo ciałem się stało
i mieszka między nami,
karmię zgłodniałe ciało
słowami jak owocami;
piję jak zimną wodę
słowa ustami, haustami,
wdycham je jak pogodę,
gniotę jak listki młode,
rozcieram zapachami.

Słowo jest winem i miodem,
słowo jest mięsem i chlebem,
słowami oczy wiodę
po ścieżkach gwiazdnych niebem.
Radości daru świętego,
o! wieczne umiłowanie!
Słowa mojego powszedniego
daj mi dziś, Panie!

Nie mam żadnego zajęcia:
jestem tylko łowcą słów.
Czujny i zasłuchany
wyszedłem w świat na łów.

Słowami fruważą chwile,
i wszystko, com kochał i czuł,
brzęczy całymi dniami
rojem słonecznych pszczół.

Muskają mnie słowa skrzydłami,
żądłami tną do krwi.
Skłutemu, strutemu słowami,
tak słodko mi!

W sercu zamknięte
trzepocą słowa,
dlatego tak serce drży.
Miodem zaklętym
pijana głowa:
dlatego — sny.

Wonna mięta nad wodą pachniała,
kołysały się kępiki sitowia,
brzask różowiał i woda wiała,
wiew sitowie i miętę owiał.

Nie wiedziałem wtedy, że te zioła
będą w wierszach słowami po latach,
i że kwiaty zdaleka po imieniu przywołam,
zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą na kwiatkach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
słów szukając dla żywego świata,
nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
to potem trzeba cierpieć długie lata.

Wiedziałem tylko, że w sitowiu
są prężne, wiotkie i długie włókienka,
że z nich splotę siatkę leciutką i cienką,
którą nic nie będę łowił.

Boże dobry moich lat chłopięcych,
moich jasnych świtów Boże święty!
Czy już w życiu nie będzie więcej
pachnącej nad stawem mięty?

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wyrywał w rozpacz
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?

MUZA CZYLI KILKA SŁÓW ZALEDWIE

Nie szperajcie po słownikach,
Nie szukajcie słów szarpiących:
Zaśpiewamy o słowikach
Śród gałęzi śpiewających.

Zaśpiewamy po dawnemu,
Zatęsknimy jak za młodu,
Wracam smutny — nie wiem czemu —
Cały w śpiewie do ogrodu.

Jeszcze słowik, ogród, drzewa
W mojej mowie tyle znaczą!
W tym ogrodzie serce śpiewa,
Śród tych drzew słowiki płaczą.

Zawstydzonych zakochanych
Panna miła znajdzie nas tu
Z tamtych lat niedośpiewanych,
Z przed dziesięciu, z przed piętnastu.

Miła Panna, słowu miła,
Miła słowom, miłowana,
Ta, co śpiewy nam słowiła,
Muza jasna zapomniana.

W bzowe noce, pod gwiazdami,
Zapłakani, przy fontannie,
Przypomnijmy słowikami
O nas dawnych miłej Pannie!

NIEMA KRAJU...

Niema kraju, skąd nie będę tęsknił
Do dawnych szarych ulic.
Złamie się w żałości każdy krzyk zwycięski,
We wszystkim dawność się rozczuli.

Niema ziemi, na którejbym spoczął
Bez szarego dawnego wspomnienia.
Wszędzie, wszędzie moim oczom
Jednõ jest do patrzenia.

Nic mnie, nic nie uspokoi,
Nic w porywie już nie zatrzyma.
Wiecznie otworem nade mną stoi
Niebo — ziemia moja rodzima.

Nie pomogą żadne podróże
Ani tłumy ani oceany,
Modłę się na ulicach coraz dłużej,
Zapatrzony, zasłuchany.

Nie pomogą najprzedziwniejsze słowa
Ani hymny dzikie ani szalone gonitwy,
Cokolwiek będzie — przyjdą znowu
Stare codzienne modlitwy.

Wołam, wołam, dłonie w rozpaczy łamię,
Boże! wysłuchaj! błysznij w niebie mieczem!
A on — tam, na ulicy, czeka na mnie:
Mój znajomy, szary, prosty człowieczek.

I cóż z tego, że umknę huczącym tramwajom,
Że pędzącemu autu wyskoczę z pod kół?
I tak mnie tysiąc razy dziennie przejeżdżają,
Miażdżą mnie i druzgocą i krają przez pół!

Zabłąkany wśród wozów, pojazdów, wagonów,
Śród dyszlów i buforów, wiję się jak gad.
Tysiącem śmierci tysiąc wjeżdża na mnie zgonów,
Kołującą wiecznością zabija mnie świat.

Wilkelrydem na dyszle! Świętym Sebastjanem
Na jadowite strzały czyhających gwiazd —
Wbić się i oczerwienić ciałem rozszarpanem,
Jak wojną i pożarem, kotłowisko miast!

Hej! Ty, co wnieść potrafisz w górę na tortury,
Na krzyż, co, w ziemię wbity, męką w niebo wrósł,
Z ulic skołowaciałych wyrzuć mnie do góry,
By mnie nocą stratował Twój gwiazdzisty Wóz!

DO FRANCISZKA FISZERA

Franciszku! Jakiż to wicher radości
Na skrajach ziemi się pieni?
Patrz: milion płomiennych wieczności
Piramidami wyrasta z przestrzeni.

Forteca wokół globu! Dosyc, dosyc nieba!
Bóg zazdrosny szturmuję do naszych serc!
Zamanić go i ściągnąć trzeba,
Niech się On teraz miota wśród gorejących twierdz!

Teraz Ojca przybić do krzyża,
Teraz Ojcu wieki męczeństwa!
Człowiek-Wicher, nasz brat, się zbliża,
Prostować ścieżki człowieczeństwa!

A wtedy my, krzyczący na tej kuli
O młodości, o ostatniej wolności,
Spotkamy się, jak przy zbiegu dwóch ulic,
Na rogu świata i nieskończoności!

MIESZKANIE

Wszystko to jest nieprawdziwe:
Oświetlone cztery pokoje
I te sprzęty, o których mówię — moje,
I te kwiaty, o których mówię — żywe,
Wszystko to jest nieprawdziwe,
A kiedy chodzę — kroki są nie moje.

Snem zawikłanym płynę przez pokoje.

Przyniosło mnie tutaj z nieskończoności
Szare mętne morze.
Kiedy na kanapę się położę
Kołuje mną wielki zawrót pradawności,
Kiedy usnę — na dno opadam,
A kiedy oczy otworzę —
— Ze snu do mieszkania wrywa się kaskada
Szumiącej groźnie wieczności.

Juljan Tuwim